

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 " — 40 "
1/4 " — 20 "
1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

OD REDAKCJI.

Z powodu choroby redaktora naszego pisma numer niniejszy wyjątkowo wychodzi bez artykułu wstępnego.

Z tego samego powodu oraz związanej z nim konieczności wyjazdu redaktora na dłuższy wypoczynek, numer następny ukaże się dopiero w sierpniu.

Czynniki procesu asymilacyjnego.

Ludziom, znającym choć pobieżnie odległą przeszłość naszego miasta i kraju, a obserwującym życie dzisiejsze nasze, nie może nie przyjść do głowy pytanie: jakie są czynniki zasadnicze, które spowodowały upadek białoruszczyzny w ubiegłych stuleciach na korzyść języka polskiego i dlaczego odrodzenie białoruskie, a w pewnej mierze i litewskie napotyka przeszkody rozwojowe, niezależne b. często od celowej akcji polskich czynników państwowych i społecznych?

Kwestja powyższa jest zbyt skomplikowana, by można było wszechstronnie i wyczerpująco omówić ją w ramach krótkiego artykułu. Dlatego też nie zamierzam zastanawiać się nad ogólnie znanymi politycznymi przyczynami, które wywoływały wynaradawianie się Białorusinów. Wiemy doskonale, jak dawna stopniowa unifikacja W. Ks. Litewskiego z Polską otwierała na rozcień drogę językowi polskiemu i jak wreszcie doszło do ustawowego zakazu używania języka białoruskiego w urzędach naszego kraju. Wiemy jaki ogromny wpływ wywarła unja religijna na losy języka białoruskiego. Pamiętamy również doskonale, jak w czasach przedwojennych nacjonalizm rosyjski usiłował — nie bez pewnego powodzenia — przeciwstawić się procesowi asymilacyjnemu na rzecz polskości.

Ogólnie przyjętym jest pogląd, że w polszczeniu się Białorusinów momentem decydującym była

wyższość kultury umysłowej zachodniej nad wschodnią, przyczem bardzo mało bierze się pod uwagę stronę materialną tej kultury i... mody, która jest w wielu wypadkach czynnikiem niezmiernie doniosłym.

Mówiąc o wyższości tej czy innej kultury trudno jest tu stosować jakąś obiektywną skalę. W jaki sposób można ustalić, czy i o ile, naprzykład, kultura wschodnia ma być „niższa” od zachodniej? Zresztą rozwiązanie tej kwestji do niczego nas nie doprowadzi, ponieważ bliższa obserwacja życia codziennego wskazuje na to, że szeroki ogół nie to pociąga, co jest przez filozofów uznane za piękniejsze lub wyższe, lecz to, co w oczach ogółu jest uznane za praktyczne lub poprostu modne. Sfery arystokratyczne rosyjskie i polskie doniedawna posługiwały się językiem francuskim nie ze względu na wyższość kultury umysłowej francuskiej, lecz dlatego, że Paryż i Wersal nadawały towarzyski ton i elegancję całej Europie. Wyróżnić się, być oryginalnym, wyodrębnić się od ciemnych i wynędzniałych mas ludowych — oto źródło wszelkiej mody, która ginie, gdy się rozpowszechnia, t. zn. staje się własnością szerszego ogółu.

Moda jest zbyt mało zbadanem i nieuchwytnem zjawiskiem, by ją łatwo było określić i sklasyfikować. Można tylko ogólnikowo utrzymywać, że wywiera olbrzymi wpływ albo ujemny, albo dodatni i dlatego jest poważnym czynnikiem w życiu społecznym, chociaż widzą ją mylnie najczęściej tylko w sposobie ubierania się. W przejściowych formach mody niekiedy odzwierciadla się duch epoki.

Wiekową polonizację ziem białorusko-litewskich należy przypisywać nie tylko prądom politycznym i religijnym, ale w większej może mierze modzie na zwyczaje zachodnie, które do nas przyszły w polskiej formie, to znaczy były przejmowane z Europy zachodniej za pośrednictwem Polski i pozostawiły po sobie trwałe osady w postaci języka polskiego.

Czasy późniejsze poza to wysunęły na pierwsze miejsce czynnik dawniej drugorzędny w wynaradawianiu się Białorusinów.

Wówczas gdy dawniej wynaradawiała się szlachta i arystokracja białoruska i litewska na rzecz polskości dzięki wpływom obyczajowym, lud białoruski w nowszych czasach polonizował się lub rusyfikował

przedewszystkiem nie dzięki atrakcyjnej sile jakichkolwiek wartości duchowych Polski lub Rosji, nie wskutek potęgi polskiej czy rosyjskiej literatury, nauki lub sztuki, lecz pod wpływem prozaicznej kultury materialnej, stanowiska społecznego i dobrobytu warstw posiadających.

W dobie dzisiejszej rola poprzednia prawosławia i katolicyzmu w wynarodawianiu pomniejszyła się do niepoznania. Rolę duchowieństwa spełnia dziś polska szkoła, która jednak, jak dotychczas, nie może pochwalić się zbyt imponującymi wynikami. Inaczej rzecz się ma z wpływem polskiej kultury materialnej. Na tle powszechnej nędzy ludu, czysto mieszkający, syty i ubrany dostatnio mieszczuch lub ziemanin, uważany jest przez spauperyzowaną ludność jako obiekt zazdrości i wzór do naśladowania pod każdym względem. Kulturalne urządzenie izby, nabycie dobrych koni, ubranie się na sposób miejski jest dziś dla niej niedoścignionym marzeniem.

Jak tylko dziecko białoruskie oderwie się od rodzinnej wioski, a trafi do dworu, do plebanji, do miasta — styka się zaraz z objawami całkiem mu nieznanymi materialnej kultury europejskiej w formie polskiej. Dziecku takiemu oczywiście imponują nie język polski, nie obrazy wybitnych malarzy, nie muzyka Chopina, lecz... nawoskowana posadzka dębowa ułożona w piękny deseń, wygodne i piękne meble, duże okna, czystość, ubranie, sprzęty mu nieznanne, domy, ulice, słowem cały ten materialny, nieznanny dotychczas, nowy świat.

Jest rzeczą naturalną, że Białorusin dążący do dobrobytu, a mający jedynie wzory polskie, przejmuje automatycznie język polski, decydujący następnie o przynależności narodowej danego osobnika. W ten to sposób odwieczne indywidualne oblicze wioski białoruskiej ulega stopniowemu zatarcu, nabierając obcych, nieraz karykaturalnych rysów.

Nie znaczy to oczywiście, by umysłowa kultura polska nie odegrała wybitnej roli. O ile jednak jest ona siłą atrakcyjną względem pewnych chwiejnych narodowościowo elementów białoruskich z pośród inteligencji, o tyle kultura materialna z jej dobrobytem i zmiennymi formami mody imponuje nawet najmniej okrzesanemu człowiekowi i w dzi-

siejszym ustroju społecznym, opartym na prawie własności prywatnej stanowi czynnik najbardziej decydujący.

Wbrew jeenak oczekiwaniom i zapowiedziom niektórych polityków polskich, iż „za 50 lat Białorusinów nie będzie”, należy się spodziewać, iż odrodzenie białoruskie będzie coraz mniej napotykało przeszkód w swoim rozwoju w miarę rozrostu europejskiej kultury materialnej pośród Białorusinów. Jak tylko wychodźca ze wsi białoruskiej co raz częściej będzie stykał się z życiem towarzyskiem i kulturalnym w formie białoruskiej, jak tylko przekona się, że istnieje w mieście lub na wsi środowisko ludzi kulturalnych, żyjących w dostatku, a używających języka białoruskiego, słowem gdy powstanie białoruska burżuazja, proces wynarodawiania się będzie powstrzymany ostatecznie. Przykład Ukraińców galicyjskich i Litwinów najzupełniej to potwierdza.

Al. S.

Osadnicy w roli wychowawców.

Zdać by się mogło, że osadnictwo i osadnicy nie stanowią już tematu aktualnego. Jednakże to tylko pozornie. W gruncie rzeczy temat to jest stale aktualny dzięki specjalnej roli i szerokiej aktywności elementu osadniczego. Mam na myśli tu nie aktywność jednostek, gdyż ta mogłaby być zjawiskiem normalnym, lecz aktywność swego rodzaju korporacji, jeżeli tak można osadnictwo nazwać.

Wiadomo, że osadnicy u nas mają dominujące wpływy w rozmaitych organizacjach wiejskich, a nieraz i w samorządach. Kółka rolnicze, rozmaite spółdzielnie wiejskie — stanowią jakby domenę wpływów osadniczych. Nieraz, jak np. w woj. nowogródzkiem, sięgają osadnicy po wpływy bezpośrednie w administracji państwowej. Nie obcą im jest akcja polityczna, jakkolwiek w ostatnich wyborach zostali jakby zepchnięci ze stanowiska przodującego. Ten szeroki zasięg wpływów osadników między innymi wynika stąd, że posiadają oni bardzo sprężystą organizację.

PETRAS CWIRKA.

Chłopiec, który pragnął konno jeździć.

(Przełożył z litewskiego W. Zaleski).

(Dokończenie).

Gwiazdy mrugają. Mrugają bardzo długo. Potem wierzchołki drzew poczynają płonąć.

Michaś unosi głowę — chłopcy łapią konie. On również wstaje leniwie i idzie rozpętać swoje szkapy.

Jeźdźcy zakręcają na gościniec.

Michaś kopie swe koniska, szczypie, łaje je. Te ruszają klusem.

Jeźdźcy pozostawiają za sobą obłoki pyłu. Michaś wścieka się na konie i jedzie ostatni.

Nie dogonić mu tamtych. Za chwilę przesłonił ich tuman pyłu.

— No, — myśli sobie, — jeżeli na przyszły rok

pójdę do kogo za parobka, to tylko do tego, kto będzie miał dobre konie.

Jego głowa przepelniona jest tylko jednym marzeniem: śliczny, szalony, jaknajszaleńszy, dziki koń! Stanowczo dziki. Stanowczo z wygiętą szyją.

Na takim to nie wstyd by było i do dziewczyny pojechać. Michasiowe oczy cygańskie pełne są przyszłego szczęścia. Osiada na nich pył, podniesiony przez klusujące konie.

Parobcy to nie pastuszkowie. Pojechali, polecili ze świstem i śpiewem. Widać tylko obłoki pyłu!

Już kończy się druga trawa. Rankami szron ją pokrywa. U wszystkich koniuchów nosy czerwone. Ostatnie dni ich łajdaczki.

Te same twarze. W jednym kółku grają w karty. W drugim znowu rozmawiają o kobietach. Wyliczają szczegółowo wszystkie ich wdzięki.

Gdy któryś za bardzo się przechwala, inny wtrąca:

Dążąc do opanowania społecznego życia na wsi, osadnicy posiadają wyodrębniającą się od miejscowego społeczeństwa, zamkniętą w sobie organizację. I dzięki aktywności tej organizacji osadnicy planowo i bardzo konsekwentnie osiągają decydujący wpływ w organizacjach kulturalnych i gospodarczych, przeważnie przez siebie tworzonych, jak również sięgają i po wpływy polityczne.

Pomimo bardzo rozgałęzionej i wszechstronnej akcji związku osadników, nie znaleźmy go dotąd w roli, do której najmniej, zdawać się może, jest powołany — w roli wychowawcy młodzieży wiejskiej. Okazuje się jednak, że wszechstronność osadników jest zaiste zdumiewająca, gdyż nie jest im obcą również działalność w dziedzinie pedagogiczno-wychowawczej wśród wiejskiej młodzieży.

Sprawa ta musi o tyle nas interesować, że sięga do drażliwych i delikatnych zagadnień polityki narodowościowej i wyznaniowej. Walka o wpływy nad młodzieżą jest i będzie długo u nas w stanie znacznego zaognienia. Wiemy z jakim wysiłkiem o postulaty kształcenia i wychowania młodzieży walczy Białorusini i Litwini, rozumiejąc dobrze, że tu znajduje się klucz do takiego lub innego kształtowania się u nas stosunków narodowościowych. Czynnikiem aktywnymi w tej dziedzinie, na naszym gruncie, byli dotychczas rząd (ściślej szkolnictwo państwowe) i duchowieństwo. Obecnie na te rozkołysane fale puszczają się i osadnicy, a raczej organizacja osadnicza. O celach, pobudkach i środkach tej nowej akcji osadników świadczyć mogą następujące szczegóły.

Do rozmaitych wiejskich organizacji i instytucji rozesłany został przez Związek Osadników w Warszawie następujący okólnik.

„Zarząd Związku Osadników pragnąc ułatwić młodzieży kresowej kształcenie się w warszawskich i wileńskich szkołach zawodowych przyjmuje do swych zakładów wychowawczych (Ognisk) na warunkach ulgowych niezamożną młodzież z Kresów.

Akcja Związku Osadników ma na celu przysporzenie Kresom przygotowanych do pracy w różnych zawodach sił fachowych, jak również uswiadomionych i mających odpowiednie przygotowania pracowników społecznych.

W celu przeprowadzenia jaknajstaranniejszej selekcji wśród młodzieży kresowej, zgłaszającej się do naszych Ognisk, chcemy naszą akcją zainteresować istniejące na terenie Kresów Urzędy i Instytucje Społeczne. W tym celu pozwalamy sobie przesłać W. P. komunikat w sprawie warunków przyjęcia

młodzieży kresowej do Ognisk na r. szk. 1931/32 łącznie z wykazem szkół zawodowych oraz afisz do wywieszenia na widocznym miejscu w biurze W. P.

Najprzejmiej prosimy o zapoznanie się z treścią powyższego komunikatu i łaskawe udzielenie informacji osobom zainteresowanym sprawą kształcenia swych dzieci.

Zwracając się do W. P. z prośbą o współdziałanie w wyborze najodpowiedniejszych i najzdolniejszych kandydatów (ek) do naszych Ognisk, komunikujemy, że kandydaci, specjalnie poleceni przez W. P. mogą liczyć na pierwszeństwo przy rozpatrywaniu podań”.

Z treści tego pisma, jak również z obwieszczenia (plakatu) sądzić można o szerokiej skali tego przedsięwzięcia, a skierowanie go do Kas Stefczyka i urzędów gminnych wskazuje na szeroki kontakt tej akcji z terenem wiejskim. Z afiszów dowiadujemy się, że informacje w sprawie przyjmowania do tych „Ognisk” udzielają również inspektoraty szkolne oraz kierownictwa szkół powszechnych. Jak widzimy więc werbunek „młodzieży kresowej” do tych „Ognisk” zorganizowany jest dosyć szeroko.

Związek Osadników posiada więc swoje „zakłady wychowawcze”, do których przyjmuje niezamożną młodzież „kresową”. O tych zakładach wychowawczych Związku Osadników bliższe szczegóły podaje: „Komunikat o warunkach przyjmowania młodzieży kresowej w r. szk. 1931—1932 do Ognisk (burs) Związku Osadników” oraz „Tymczasowy Statut Funduszu Stypendjalnego Związku Osadników”.

Z „Komunikatu” o warunkach przyjmowania dowiadujemy się, że „w r. 1930/31 Związek Osadników posiadał już 5 zakładów wychowawczych, z których 4 są w Warszawie, a 1 w Wilnie. Ogółem w Ogniskach warszawskich wychowuje się 400 chłopców i 150 dziewcząt oraz w Wilnie 80 chłopców i kilka dziewczynek, jako zaczątek przyszłego ogniska żeńskiego, czyli razem Związek Osadników ma obecnie pod swoją opieką 630 młodzieży”. Jest to naturalnie zasięg na całe tak zwane „Kresy Wschodnie”. Z tej relacji sądzić trzeba, że akcja „wychowawcza” Związku Osadników jest już dosyć imponująca pod względem liczbowym, a zważyć należy, że organizatorzy uważają to tylko za początek.

Rzecz naturalna, że może powstać przypuszczenie, iż jest to akcja prowadzona w kierunku pewnej samopomocy korporacji osadniczej, ułatwiająca kształcenie dzieci samych osadników. Jednak

— Trzeba tobie trzylatka Wejwerysa.

— Nie żartuj, stary. Przecież już dostałeś od niego!

Niema takiego śmiałka. Niema komu objeździć żrebca Wejwerysowego. Nie jednemu już on przednie zęby wybił.

Z tych żartowano, że im teraz gwizdać wygodniej. Parobcy zawsze są parobkami. To nie pastuszkowie.

Żrebiec był rasowy. Od ogiera Bilinawicziusa. O szyi wygiętej. O nogach stalowych. Ale nikogo na swym grzbiecie nie znosił. Tylkami nogami tańczył po łące. Wiadomo — młody ogier.

Wejwerys obiecał fiaszkę wódki temu, kto żrebca objeździ. A ten nawet zaprząć się nie dawał.

W trakcie rozmowy trzylatek zaczął chrapać i paraskać. Patrzają — Michaś trzyma za uzdę Wejwerysowego żrebca.

— Ty sam go złapałeś?

— Sam — odpowiada Michaś. Niema w nim dumy, tylko bije zeń szczęście.

Parobcy popatrzyli na siebie.

— I co powiecie?! — Zuch! — dziwią się wszyscy.

— I ty, smarkaczu, chcesz na nim pojechać?

— Chcę.

Znowu wszyscy spojrzeli na siebie.

— Niech jedzie. Niech pojeździ po łące. Niech połamie gnaty — i wsadzili go na konia.

— Trzymaj się za grzywę!

— Widzisz. Dorosłemu nie daje wsiąść na siebie, a taki robak zalażł.

— Teraz niech jedzie. Odbije płuca — nie zechce więcej.

Postraszyli.

Żrebiec podskoczył dwa razy ku niebu, dwa razy zarżał w szarą noc jesienną i pognał.

Cień mknie.

Słychać tętent.

Coraz ciszej.

Ciszej.

Ciszej.

z szczegółowego zapoznania się wynika, że tak nie jest i, że są tu cele bardziej ogólne. Gdyż do „Ognisk” przyjmowane są poza dziećmi osadników wojskowych i cywilnych również „dzieci rolników kresowych zrzeszonych w kółkach rolniczych lub innych organizacjach społecznych”. O celach „Ogniska” wileńskiego wypowiedział się w № 290 z r. 1930 „Słowa” jeden z czynnych przywódców osadników poseł Wł. Kamiński, stwierdzając, że „Ognisko wileńskie ma służyć dla dzieci osadników i *drobnych rolników*”.

Jak widać przeznaczenie tych zakładów wychowawczych jest znacznie szersze, niż wewnętrzna samopomoc osadników i, że chodzi tu o działalność „wychowawczą” wśród młodzieży włościańskiej.

Nie posiadamy żadnych danych co do procentowego składu wychowanków; przypuszczać należy, że w sprawozdaniach, o ile zostaną one ogłoszone, będą te sprawy wyjaśnione.

Wymienione ogniska czyli bursy dają dosyć przystępne warunki materialne, co pozwala ludziom nawet bardzo niezamożnym korzystać z nich. Koszty utrzymania w Ogniskach warszawskich wynoszą rocznie 1000 zł., w Ognisku wileńskim 900 zł. Jednak na pokrycie tych kosztów wpłaca się roczną sumę 350 zł., w miesięcznych ratach po 35 zł. w Ogniskach warszawskich oraz 300 zł., ratami po 30 zł. miesięcznie — w wileńskim. Na resztę udziela się stypendjum, częściowo zwrotnego, częściowo bezzwrotnego.

Z innego źródła dowiadujemy się, że na utrzymanie wileńskiej bursy urząd wojewódzki wypłaca dosyć poważną sumę miesięcznie. Tęby wskazywało na to, że jest to akcja subsydjowana przez rząd. Zresztą trudno byłoby przypuścić, aby na tak kosztowną akcję mogli zdobyć się z jakichś własnych środków sami osadnicy, którzy przecież stale narzekają na swoje ubóstwo. Widzieć w tem należy pewną akcję, aprobowaną i finansowaną przez rząd. Nie znamy ognisk warszawskich, lecz wiemy, że w Wilnie taka bursa zainstalowała się dosyć bogato. Przed paru laty Związek Osadników nabył w Wilnie przy ul. Zygmuntońskiej № 16 dużą posesję. Posiadamy informacje, że finansował to Państwowy Bank Rolny.

Tyle o faktycznym stanie rzeczy akcji wychowawczej osadników wojskowych w naszym kraju. Trudno coś jeszcze powiedzieć o rezultatach tej akcji, o jej sukcesach realnych. Interesować bardziej mogą nas tendencje. A te nam wiele mówią. Dziwnem jest, z jakiego tytułu nieliczna warstwa, przytem obca dla kraju naszego, za publiczne środki podejmuje się roli wychowawczej dzieci naszych wieśniaków. Ongiś była to dziedzina działalności duchowieństwa, właściwie zakonów, które zresztą posiadały własne duże środki. Dzisiaj, gdy ludność miejscowa składa tak duże świadczenia, gdy w dziedzinie oświaty wreszcie tak bezkonkurencyjnym chce być samo państwo — stwarzanie takiej *sui generis* koncesji dla osadników wojskowych, jest zjawiskiem naprawdę nieprawdopodobnym. Istnieją wszak ściśle od rządu uzależnione samorządy, do których bardziej już by pasowały funkcje wychowawcze. Wreszcie sam rząd, tak głęboko w życie społeczne ingerujący, mógłby podobne bursy dla „dzieci rolników kresowych” zakładać i je prowadzić. Wreszcie, jeżeli już chodzi naprawdę tylko o dobro naszych rolników, to można byłoby powołać specjalne, z miejscowego społeczeństwa wyłonione, instytucje, czy organizacje, które za „rządowe pieniądze” pod nadzorem jawnym rządu prowadziłyby akcję wychowawczą młodzieży. Dlaczego właśnie osadnicy, element bądź co bądź szczerzy ilościowo, przytem wywołujący tyle podrażnień politycznych i społecznych, staje na czele podobnej akcji?

I tu nasuwa się wniosek, że osadnicy są jednakże, w opinii czynników rządowych, tym elementem pierwszej klasy, najbardziej zaufania godnym i najbardziej wreszcie odpowiednim do przeprowadzenia spraw bądź co bądź drażliwych. I co jeszcze jest charakterystycznym, że wciąż się wzmacnia tę fałszywą rolę osadników, jako opiekunów i reprezentantów miejscowej ludności wiejskiej. Czyżby naprawdę wierzono wciąż w to, że osadnictwo ma u nas spełnić tę odpowiedzialną rolę? W każdym razie musimy rachować się z faktem, że kilkaset dzieci włościan miejscowych może się znaleźć wkrótce pod ścisłą opieką osadników, w ich „Zakładach wychowawczych”.

Magister.

Mgła rośnie, całuje konie swemi wilgotnemi ustami i te parszczą po wszystkich końcach łąki.

Powoli podchodzą parobcy do ogniska. W milczeniu.

— A jednak, chłopcy, głupiośmy zrobili. Nie należy tak żartować. Mówią, że kiedy zaczniesz z pastuchem, to i końca niema.

— To co myśmy mu zrobili?—A niech jedzie.

— Trzeba było nie dać! Z bestją niema żartów, a jeszcze z taką!

I znów zasiedli do kart. Ale gra nie idzie jakoś. Kilku rzuca karty i wychodzi z gromadki. Klną.

Upływa kwadrans, drugi.

Konie podnoszą głowy i patrzą w stronę, w której znikł mały jeździec.

Zadudniło.

Zatętniło.

Zaparskało.

Wejwerysowy źrebiec obiega wszystkie klacze. Jedną, drugą pocałuje swemi białemi zębami. I nie

uspakaja się. Jego oczy aż przez mgłę świecą. Miedziami błyszczą.

— A widzicie...

Wstali od ognia i boją się popatrzeć sobie w oczy.

— A nie mówiłem?!... — Ten sam głos.

— Milcz, do czorta! Zdaje się, że ktoś krzyczy. Milkną. Cisza.

Na łące mgła, a we mgle nie słycać ani świergotu ptasząt, ani płaczu. Tylko niepokój jakiś w powietrzu.

Okrążyli Wejwerysowego źrebca. A ten rzuca się i kawałami piany miota. I wciąż żuje żelazo i wciąż wypluć nie może.

Milczą wszyscy. Języki zamknięte na klucz. Kilku chłopców wychodzi z gromadki, bierze z ognia palące się główne, odnajduje swoje konie, wsiada i jedzie.

Potem jadą wszyscy, ilu ich było na paszy.

— Michaś!

— Michaś! — pluszcze echem woda.

M. Cziurlionis, jako malarz.

(W 20-tą rocznicę zgonu).

(Dokończenie).

I oto w tęsknocie i samotności, wśród bezgranicznych, szarych wód morza, rodzi się myśl nowa, jakby przecucie tożsamości swego „ja” z Wiecznym i Absolutnym, jakgdyby przecucie ekstazy i radości z nim — Absolutem — zjednoczenia („Myśl” — jeden z najpiękniejszych i najciekawszych obrazów Cziurlionisa: szara dal morską bez granic i brzegów z małą łódeczką i człowiekiem w niej — i zatem, jakgdyby raptowne, a już jasne i radosne trzykrotne powtórzenie tego motywu w chmurach, na tle nieba).

Zwyciężyliśmy więc, i teraz już nigdy nie umrzemy...

I stopniowo strach i smutek ustępują przed radosnym hymnem wobec Bezmiernego i Wiecznego. Znika ciemna noc... Z początku, jak mały płomyk, jakby tylko palącą się świecą sam genialny artysta rozjaśnia ciemności („Myśl” — autoportret (?)). I oto gwałtownie czarny ptak ucieka precz przed blaskiem wschodzącego słońca („Wieść”)... To słońce, przecinające mrok nocy — to ta radosna „Wieść”, którą głosi nam Cziurlionis... I już nie jedno słońce, a sto słońc powstaje i świeci w „Słonecznej Sonata”... I powoli wysoki mur, który odgradzał nas i naszą krainę, gdzie panuje ciemne fatum od świata innego, jasnego, nieosiągalnego — stopniowo wiotczeje, znika, i Cziurlionis, pełen bezgranicznej miłości, jakgdyby uchyla zasłonę lzydy i już blisko, zupełnie blisko, przez cienką przesłonę, widzi ów kraj wschodzącego słońca („Preludjum”), widzi wyraźnie swoją drogę życiową, którą już nadal podąża („Moja droga”).

Następnie — pełne głębokiego, niedającego się wyrazić słowami, Piękna — ostatnie akordy: w ekstazie, po stopniach „Raju” i „Preludjum” prowadzi nas Cziurlionis coraz wyżej, do kraju obiecanego, do świątyni na słonecznych wzgórzach („Bajka”), do pogody i jasności ducha („Ofiara”, „Arka Noego”)...

W tych ostatnich obrazach — hymnach, jak też i w niektórych poprzednich sonatach, dosięga Cziur-

lionis najwyższego chyba, na jakie może wznieść się artysta, radosnego uczucia życia, prawdziwie ekstazy jasności ducha, — tej pogody, którą zdobył w końcu swego tragicznego życia inny wielki artysta — Bethowen, tworząc, według jego słów „Radość z Bólu” — jego ostatnią, IX Symfonię.

Różni autorzy i krytycy, którzy wydawali swój sąd o twórczości Cziurlionisa, mówią o *syntezie* muzyki i malarstwa, do której jakoby dążył Cziurlionis, o *wizjach muzycznych* w jego obrazach. Czy możliwa jest jednak synteza malarstwa i muzyki i czy Cziurlionis rzeczywiście dążył do niej?

Malarstwo i muzyka są to dwie odrębne dziedziny: malarstwo, jako skryształizowana forma uczuć wzrokowych, posługuje się przestrzenią i jest oparta na *własnościach przestrzeni*; muzyka — skryształizowana forma uczuć słuchowych — posługuje się *czasem*, czyli ciągłością, kolejnością tonów.

Muzyka przestaje istnieć, jako taka, gdy niema kolejności tonów, trwania w czasie, czyli więc: *jeden akord*, najwięcej chociażby, najwięcej skomplikowany, nie stanowi muzyki, pozostaje tylko akordem, fragmentem.

Malarstwo (stalugowe) istnieje na płaszczyźnie obrazu, czyli w *stacycznej przestrzeni*, to znaczy nie zmieniającej swej własności — swych kształtów, linii, barw; jest to więc zorganizowana statyczna działalność barw, linii i form określonej przestrzeni. Zahaczając tę statyczność, wprowadzając dynamikę rzeczywistą, realną dynamikę barw, płaszczyzn, linii i t. d. — malarstwo przestaje być malarstwem, przechodząc w kinematograf barwny.

Z tego wynika, iż połączyć malarstwo stalugowe, to znaczy obraz malowany z muzyką — jest rzeczą niemożliwą, absurdalną, i sądzę, iż Cziurlionis dobrze uświadamiał to sobie i nie dążył do takiej łączności i syntezy. Lecz dlaczego jednak spotykamy nazwy: „Preludjum” i „Sonaty”?... To jest zagadnienie innego rodzaju.

Otóż pewna *synteza uczuć* muzycznych i wzrokowych (malarskich) możliwe jest i istnieje zawsze. Przedewszystkiem istnieje nierozdzielna, ścisła łącz-

Jadą nad rzeczką. W wodzie widać ogromnych jeźdźców. Jedni w wodzie, drudzy na brzegu łąki. Podwoiła się ich liczba.

Drży ogień. Płonące głównie czynią wrażenie długich świec.

Już przejechali łąkę, a Michasia jeszcze niema. Zaginionego jeźdźca.

Wreszcie wszyscy stanęli. Tylko woda płynie i płynie.

— Jedźcie tutaj! — krzyknął ktoś.

Michaś leży na ziemi. Podnoszą go. Z głowy ciecze krew.

Ciało takie bezwładne.

W zębach kawałek lejcy. Oczy przewrócone. Z ust również sączy się krew.

Szklane oczy patrzą, patrzą i napełniają się łzami. Usta uśmiechają się niewyraźnie.

— Widzisz. A czegoś jechał?! — zaczyna któryś gderać na Michasia.

— Poszedł precz ze swoim kazaniem ojcow-

skiem! Będziesz mógł swoje dzieci pouczyć, jak będziesz miał Nie czas teraz!

Odpychają karnodzieję i niosą Michasia dalej.

Nagle na policzkach Michasiowych skóra napręza się, Michaś wysadza język pół odkąszonej, puszcza krew ze śliną i chce przemówić, lecz nie może.

— Żr-eb, wiil!

Oczami zpośród koni, stojących poza plecami parobków, pragnie odszukać żrebca, ale nie może.

Niosą Michasia i niosą.

Z płonących główni ogień pada na ziemię. Przez mgłę niosą. Jeden za głowę, a dwaj za nogi. Za nimi postępują wszyscy parobcy i wszystkie konie.

Michaś nawet nie jęczy, tylko przez zęby przepycha:

— Ż-re-bca daj...!

I przyprowadzają mu Wejwerysowego żrebca. Michaś uśmiecha się, ale po chwili na czole

ność, powiedzieć można — *jedność uczuć* wzrokowych, tonalnych i innych w najważniejszym, początkowym momencie twórczej ekstazy u każdego — wrażliwego na muzykę i barwy — artysty, u każdego poety w momencie, w którym uczucia nie przybrały jeszcze określonej formy — jako wzrokowe lub muzyczne, gdyż powstanie dzieła sztuki jest ostatecznym wynikiem ekstazy, ujętej w tę lub inną formę i technikę.

Pozatem, są osoby, i to nie tylko wśród malarzy, muzyków i poetów, które posiadają specjalną wrażliwość wzrokową i słuchową, specjalnie reagują na barwy, linie i tony, u których wrażenia barwne i tonalne są tak zespolone, ściśle związane, iż jakiś *ton lub akord* wywołuje (w mózgu, w wyobraźni) w silniejszym lub słabszym stopniu realne poczucie barwy (czerwonej, niebieskiej i t. d.), przytem barw o różnej intensywności (napięciu) i ich czystości. (Możliwa jest, rozumie się, i reakcja odwrotna: od barw do muzyki).

Taką wrażliwość na barwy i tony posiadał, widocznie, Cziurlionis, jako muzyk — kompozytor i malarz jednocześnie, i bezwątpienia muzyka niejednokrotnie służy mu za impuls do twórczości malarskiej, wykazuje on jednak przytem pewną cechę osobliwą, mianowicie: uczucia muzyczne wiązały się u niego nie tyle z barwą, jej różnorodnością, lecz bardziej i przeważnie z *formą graficzną, linearną* świata zewnętrznego, powiedziałabym — z architektoniką natury i przedmiotów, z rytmem form natury, i jeszcze, jak widzieliśmy, z symboliką poetycką. Przytem Cziurlionis zapożycza pewne formy i sposoby z dziedziny muzyki, buduje niektóre obrazy według form muzycznych, to znaczy swe uczucia i myśli podporządkowuje pewnej kolejności, pewnym stadjom czy stopniom rozwoju tematu. Dlatego mamy obrazy, jak w sonatach: Allegro, Andante, Scherzo i Finale. (Niektóre, zresztą, sonaty są niedokończone i posiadają 2 lub 3 części).

Budując zatem obraz graficznie, linearnie, dając subtelną tonację obrazów, ich gamę ogólną, Cziurlionis nie wyzyskuje wszystkich możliwości, jakie dają barwy — ich intensywności, różnorodności, silnych kontrastów, również faktury (t. zn. powierzchni materialnej) obrazów; nie widzimy więc u Cziur-

lionisa takich efektów, czysto barwnych, do jakich doszli ekspresjoniści późniejsi, w pierwszym rzędzie np. znany malarz Kandyński. Dlatego też chwilami graficzna strona obrazów Cziurlionisa, zbyt ograniczona w barwach, w wyrazie swej mowy malarskiej jest dla nas niezupełnie zrozumiałą.

Tutaj, w tem samoograniczeniu, w pewnym ascetyzmie w stosunku do barw i wogóle zadań czysto malarskich, w stosowaniu symboliki literackiej — tkwi niebezpieczeństwo wpływów Cziurlionisa na innych, szczególnie młodych malarzy.

A jednak, nie zważając na te ograniczone środki malarskie, obrazy Cziurlionisa sprawiają na widzu wrażenia głębokie, niezapomniane — dlatego, iż, walcząc z chaosem, Cziurlionis przewycięża go i dochodzi do takiej pogody i jasności ducha, którą potrafiło osiągnąć niewiele tylko malarzy — wśród nich Beato Angelico...

I dlatego właśnie Cziurlionis jest dla nas tak drogi i dlatego pozostanie zawsze cenionym przez innych. Dla swego rodzinnego kraju — Litwy jest Cziurlionis jeszcze droższy, jako wyraz budzącego się ducha narodu, jako prorok odradzającej się wolności...

Witold Kajruksztis.

Pasierbowie.

W artykule pod tym tytułem „Viln. Rytojus” jeszcze raz powraca do aktualnego tematu szykanowania ludności litewskiej przez wileńskie władze kościelne.

„Bolesne incydenty z ostatnich tygodni potwierdziły jedynie opinię, że w diecezji wileńskiej Litwini-katolicy od 1926 r. traktowani są jak pasierbowie. Chodzi o ostatnią wizytację parafij litewskich, dokonaną przez biskupa Michalkiewicza. W końcu maja i w początkach czerwca wizytował biskup Michalkiewicz parafje litewskie i mieszane w powiatach wileńsko-trockim, grodzieńskim i lidzkim. Wizytacja rozpoczęła się w Olkienikach. Przebieg jej jest już

napręża się żyła. Oczy błyszczą bardziej niż u żrebca. Zaciska piąstkę i uderza żrebca po chrapach.

Ale ten spokojny. Jakby nie ten sam. Rozumie, że źle zrobił.

Potem wypogadzają się Michasiowie oczy. Wyciąga już nie pięść, a małą rękę chłopięcą, lecz ta opada bezwładnie. Oczy jeszcze bardziej na wierzch wylażą, żyła jeszcze bardziej się wypręża.

Przynieśli Michasia, położyli przy ognisku i twarz przykryli kożuchem.

Tak opancerzyli małego jeźdźca skrwawionego z kawałkiem lejcy w zębach.

Oczy jego jeszcze pełne radości męskiej. Ale je wkrótce zamykają, aby nie patrzyły w siwe niebo jesienne, ku któremu tumanem mgła się podnosi.

Parobcy naradzają się, jak zawiadomić o nieszczęściu Michasiowego gospodarza.

— No i co? Albo tośmy winni?

— Rozumie się. Chciał jechać i pojechał.

Gdy ucichły ich słowa, poza długą łąką roz-

począł się smutny ranek. Chłodny z domieszką czerwieni.

Jeźdźcy posuwają się bardzo wolno.

Krok za krokiem.

Jadą powoli, aby niesione przez żrebca ciało Michasiowe nie pozostało w tyle całej kawalkady. Kawalkady jeźdźców, którzy teraz nie wydają radosnych okrzyków, nie unoszą pyłu i nie tętnią kopytami koni.

Michaś znów ostatni do wsi powraca. Ale nie tak, jak zawsze. Na Wejweryсовym żrebce jedzie! Ten pastuszek... Nie, kto raz dobrze na żrebku konno jechał, ten już nie jest pastuszką, lecz parobkiem.

Błękitnooki chłopak, który tak gorąco pragnął konno jeździć, powrócił do wsi dumny i spokojny, mocno kawałek lejcy w zębach trzymając.

wiadomy. Zakończyła się ona mianowicie dla Litwinów krwawo. Biskup Michalkiewicz wiedział, co się przytrafiło banderjom litewskim, lecz do sprawy tej się nie wtrącał i za Litwinów się nie ujął. Nie trzeba dodawać jak się Litwini w parafii olkienickiej po tem wszystkim czuli. W międzyczasie do Żydów olkienickich wygłosił biskup gorącą mowę patrijotyczną.

W parafji orańskiej znajduje się około 3 tys. ludności, w tem około 100 Polaków i około 10 rodzin żydowskich. Reszta zaś to Litwini. Dla przyjęcia biskupa utworzył się komitet, do którego weszli Polacy i Żydzi. Litwinów zaś do komitetu nie dopuszczono. Podczas powitania przemawiali Polacy i Żydzi i to bardzo długo. Litwinom pozwolono wygłosić jedynie parę słów. Tak więc nie dopuszczono właściwie do powitania biskupa przygniatającej większości litewskiej. Podobnie się rzecz miała w Marcinkańcach, gdzie biskup, zobaczywszy powitalne wrota litewskie, zapytał o bramę polską i sztandary państwowe, a Litwini nie wiedzieli co na to odpowiedzieć, gdyż w Marcinkańcach stosunek ilościowy Litwinów do Polaków jest taki sam jak w Oranach. Podobnież działo się w Ejszyszkach, gdzie zamieszkali w dużej liczbie Litwini nie słyszą w języku własnym słowa Bożego, gdyż przysłany wikary Kiwiński całkiem nie umie po litewsku. Biskup powiedział „Garbe Jezui Kristui” (Chwała Jezusowi Chrystusowi) i nie czekając odpowiedzi dodał odrazu: „Pewno nie rozumiecie do litewsku”.

Wszystko to świadczy o tem, że od 1926 r. podzielono w archidiecezji wileńskiej katolików na dwie kategorie: synów-Polaków i pasierbów Litwinów. Nie pozostaje w takich warunkach nic innego, jak zwrócić się do Głowy kościoła katolickiego z prośbą o wyznaczenie osobnego biskupa Litwina, któryby regulował w diecezji wileńskiej sprawy katolików-Litwinów i był dla nich ojcem”.

WOLNA TRYBUNA.

W odpowiedzi „świaszczennikowi” Żeleznikowiczowi.

Ostatnie wystąpienie kapłana prawosławnego tego nazwiska w „Słowie” (Nr. 134 z r. b.) wymaga kilku uwag, które tu piszę, jako unjonista i z tego tylko tytułu. Chcę przytem starannie unikać wszelkich ukłuć i zadraśnień.

Przedewszystkiem św. Żeleznikowicz — zdaje się — nie wie, że Cerkiew prawosławna w Rzeczypospolitej Polskiej pierwsza zaatakowała Kościół katolicki, tworząc wyjątkowo prowokujący *Polsko-Prawosławny Kościół Narodowy*. Z intencji, treści i nazwy tego nowotwora, u którego kolebki stali metropolita Dionizy i ex-ks. Huszno, widać jak wrogą, zaborczą i zachłanną była ta organizacja. Co do istotnych celów jej żadnej wątpliwości być nie może dla każdego, kto przeczytał chociażby parę artykułów Huszny. Stare odwieczne prawosławie, chodzące w aureoli złotych tradycji Wschodu, nie zaważało się na ten mezaljans, byle spróbować, czy nie uda się jakoś osłabić Kościoła. Jeśli znowu wyniki podjętych wysiłków były nader marne, to napewno nie z tego powodu, by na Pradze, w siedzibie me-

tropolji, brakło „dobrych chęci”, lecz dzięki dobrym fundamentom i spoiwości więzadeł Kościoła. Więc kto jest rzeczywiście stroną atakującą?

Dalej nasi prawosławni nie mają elementarnych wprost wiadomości o tem, jak na Litwie i Białorusi, przed stu laty „nawracano” opornych unitów na prawosławie. Jest to bardzo poważna luka w ich wykształceniu historycznym. Tymczasem francuscy historycy Kościoła nie wahają się dziejów roku 1839 (i lat 1866—1870 w Chełmszczyźnie) nazywać do słownie *rozbojem!*...

Z lekkiej ręki p. W. Ch., św. Żeleznikowicz (czy też z dobrą wolą i bez uprzedzenia?) używa podobającego się mu widać zwrotu: charakteryzacja na Anglika.

Czyż nie jest agresywnością, jednym pociągnięciem pióra, próbować zagarnąć na *wyłączny* użytek wschodu takich wielkich luminarzy, należących do Kościoła powszechnego, jak św. św. Bazyli, Chryzostom, Grzegorz?! Nie trzeba zapominać, że w dziejach Kościoła zachodniego niema *ani jednej chwili*, w którejby nie istniał w jego łonie gdziekolwiek obrządek wschodni, mający mniej lub więcej kapłanów i wiernych. Tem się właśnie różni katolicyzm od prawosławia, które *zawsze* pokrywało się wyłączenie z pojęciem obrządku, względnie obrządków wschodnich, i *nigdy* bodaj nie wylegitymuje się, że pielegnowało gdzieś obrządek łaciński. Mezaljans ten dopiero dokonał się na naszych oczach, gdy stanął wiadomy już układ między metropolją prawosławną w Rzeczypospolitej a Huszną. Dlatego ks. biskup Czarnecki jest najbardziej prawowitym spadkobiercą wschodnich ojców Kościoła i nawiązuje tylko, co rozluźnili byli Focjusz i Cerularjusz.

Weźmy znowu sposób wyrażania się o władcy Czarneckim, jako o „intruzie”, tem dziwniejszy pod piórem prawosławnego duchownego, nasadzającego na Białorusi, wespół z 99 proc. swych współbraci, wielkorosyjskość. I to wtedy, gdy b-p Czarnecki jest nie „podobno” lub „jak mówią”, lecz rodowitym Ukraińcem, używającym chętnie swej mowy rodzinnej, ilekroć się tylko nadarzyła okazja pogawędki z ludźmi, rozumiejącymi mowę narodu siedzącego od Sanu do Kubani. Tak, w żyłach władcy Czarneckiego płynie krew narodu, który dał Unji św. Józefata Kuncewicza (zastrzegając się przeciwko stosowaniu dziś żywcem metod w. XVII nie wolno wcale zaprzeczyć, nieskazitelnej szlachetności pobudek tego gorliwego apostoła Unji). Jest więc to najbardziej prawny dziedzic cerkwi św. Trójcy w Wilnie, aczkolwiek będąc przeciwnikiem nieszczęsnej akcji rewindykacyjnej, najmniej chyba myśli o zgłuszaniu pretensyj odnośnych.

Trudno, Kościół katolicki, to nie jeden naród i nie jeden język! To *Urbs i Orbis*... Piękną ilustracją tej prawdy o równości w Kościele narodów obrządków i języków jest fakt, że Wizytator Apostolski przemawiał w Wilnie w cerkwi po polsku, białorusku i rosyjsku, że zwracał się w Wilnie do Polaków i Litwinów, a na prowincji posługuje się też, gdzie zachodzi potrzeba, mową ukraińską. To wszystko świadczy, jak dalekim jest od idei unijnej wszelki nacjonalizm i szowinizm, naogół wszelka wyłączność.

Nie brak zresztą w artykule św. Żeleznikowicza akcentów zgoła niesmacznych, w najmniejszym mierze nie usprawiedliwionych jego stanowiskiem obrońcy prawosławia. Dziwne wrażenie sprawiają wspomnienia autora o popieraniu unji, jako ostoi narodowego ruchu ukraińskiego przez Austrię, a je-

szcze bardziej wytykanie episkopatowi ukraińskiemu rzekomo nielojalnego postępowania wobec państwowości polskiej. Ten chwyt jest tak wymowny, że zostawiam go bez komentarzy.

Biskup Czarnecki kroczy drogą najzupełniej otwartą. Głośno się modli w cerkwi za Papieża i ordynarjusza archidiecezji, wzywa św. Józefata..., odrzucając *a limine* wszelkie udawanie, czyli „charakteryzację na Anglika“.

Wszyscy to widzą, boć szaty archierejskie stylowo wschodnie, głośne pienia — typowo cerkiewne... Ze nie wszędzie jeszcze są świątynie unickie, na to niema narazie rady i trzeba nieraz zapraszać naszych braci prawosławnych do świątyń łacińskich, jak to było w Nowogródku. Mimo ostrzeżeń i pogróżek św. Żeleznikowicza i towarzyszy, tłumy prawosławnych niejednokrotnie zapełniają świątynię, by usłyszeć władzę.

Misjonarze unicy coraz częściej wychodzą u nas na szerokie ugory, niosąc dobrą nowinę, obyczaj i kulturę w rodzinę Poleszuka lub „tutejszego“, i to w języku macierzystym. To nie fantazja, lecz rzeczywistość. Ciekawy niech się przyjrzy pracy oo. Wysokińskiego T. J. Onoszki, Pańki...

Lud prawosławny napewno lepiej od św. Żeleznikowicza wie o tem, co robią misjonarze unicy. *Niepopierani przez rząd*, zdani jedynie na własne siły, pracują oni z dnia na dzień z poświęceniem niesłabnącem.

Najmniejsza ilość w parafii wiernych, chociażby 12 dusz tylko, zasługuje na taką troskę ze strony Kościoła, jak i 12.000. Nic tu nie znaczą liczby.

Wszędzie, i u katolików, i u prawosławnych pokułtuje jeszcze dążenie, by wciąż wywoływać efektowne *Massenwirkung*, czyli operować liczbą i tłumem. Kiedyż się nauczymy stosowania innych sprawdzianów?!

Co zaś do rady, by biskup Czarnecki „porzucił pracę misyjną na kresach“ bo „przecież świat jest tak szeroki“ i t. d., to dziwnie ona brzmi w ustach kapłana tego wyznania, które, zamiast pilnować potrzeb religijnych wśród dotkniętej ateizmem emigracji rosyjskiej, pcha się dziś (jak zresztą pchało się z archirejem Eulogjuszem w latach 1914—1915 do Galicji Wschodniej) do Łemkowszczyzny. A akcja prawosławna w Rusi Przykarpackiej!

Mieszkając daleko od Wilna, św. Żeleznikowicz nie wie, że ani nawskroś nacjonalistyczny „Dziennik Wileński“, ani klasowo-ziemiańskie, imperialistyczne „Słowo“ nie są właściwie organami prasy katolickiej. Nie ideologia katolicka, lecz dyrektywy partyjne endecji lub interesy obszarników decydują w pierwszym rzędzie o stanowisku tych organów. Uzgodnienie zaś jego ze światopoglądem katolickim jest już czemś wtórnem. Co do filarów „Słowa“, to nikt oczywiście nie będzie ani przeczył, ani wątpił, że p. p. Cat, Charkiewicz i inni krytycy unji są dobrymi katolikami *politycznymi*, w których jeszcze niedościgłe dla nas, dzięki Bogu, wzory obfituje dziś Francja.

Ukazanie się w „Słowie“ artykułu św. Żeleznikowicza *bez redakcyjnego przed — lub postawia* jest tego najlepszym dowodem.

J. M.

DRUSKIENIKI

ZDROJOWISKO POŁOŻONE NAD NIEMNEM

KĄPIELE SOLANKOWE (nowe źródło wysokiej wartości)
Kwasowęglowe — Borowinowe

HYDROPATJA — ELEKTROTERAPJA —
INHALATORJUM — GABINET GINEKOLOGICZNY

Zakład zaopatrzony we wszystkie **nowoczesne urządzenia lecznicze**, pozostaje pod stałą opieką Rady Naukowej złożonej z profesorów U. S. B. i lekarzy-konsultantów. **Zakład stosowania słońca, powietrza i ruchu** odpowiada wymaganiom współczesnej nauki i techniki.

KĄPIELE KASKADOWE. — Plaża wzorowo urządzona na wyspie Niemeńskiej.

Spacery łodziami — Rybołówstwo — Grzybobranie — Wycieczki bliższe i dalsze do malowniczych okolic —
Rozległe lasy sosnowe, jeziora, wzgórze i doliny.

Sezon trwa od 15-go maja do 30 września.

Wszelkich informacji bezpłatnie udziela na miejscu i listownie Komisja Zdrojowa.

